

Mieczysław POŻARSKI

## Wspomnienia



Olsztyn 2004

Mieczysław POŻARSKI

Powrót do Ojczyzny przez Syberię, Kazachstan,  
Uzbekistan, Turkmenię, Persję, Indie i Afrykę

Wspomnienia

Olsztyn 2004



Włodzisław

## Powrót do Ojczyzny przez Syberię, Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenię, Persję, Indie i Afrykę

Przed 1940 rokiem mieszkaliśmy na terenie obecnej Białorusi w Żytoródzkiej dzielnicy Wołkowyska. Mieszkający tam Polacy dumni byli z historycznych wydarzeń swego miasta i dzielnic. Byli to wielcy patrioci ojczyzny o wielkich tradycjach legionowych i ułańskich.

Moi dziadkowie, strygowie i wujowie w tym też mój ojciec to legionści. Wielu poległo podczas wojny w 1920 roku. Nasi liczni krewni mieszkali do 1940 roku w miastach i dzielnicach Białegostoku, Grodna, Wołkowyska, Baranowicz, Lidy i Rosi. W większych miastach stacjonowały liczne pułki wojska polskiego z czego zadowoleni byli nie tylko mieszkający Polacy.

W Wołkowysku stacjonowało kilka jednostek w tym słynny pułk strzelców konnych, w którym bardzo chętnie służyła młodzież polska w tym też członkowie naszej rodziny. Szefem sztabu przez pewien okres czasu był major Władysław Anders. Wołkowysk był znany też z tego, że poza Polakami mieszkali bardzo licznie Żydzi, rodziny pochodzenia białoruskiego, litewskiego a nawet Tatarzy.

Przed wkroczeniem Armii Czerwonej mieszkańcy tych terenów bez względu na narodowość czy wyznanie żyli obok siebie bardzo zgodnie i życzliwi nawzajem. Jednak po 17 września 1939 roku wiele tzw. mniejszości narodowych zaczęło przechodzić na służbę sowiecką twierdząc, że są komunistami. To właśnie oni sporządzali wykazy rodzin polskich na pierwszą bardzo tragiczną (mróz około 40°C) wywózkę 10 lutego 1940 roku na Sybir.

Władze sowieckie obsadzały tymi ludźmi różne funkcje i stanowiska nie tylko administracyjne. Jednym z takich „komunistów” który przedtem był drobnym handlarzem na bazarze, został wizytatorem szkolnym Wołkowyska i okolic.

Pewnego dnia w końcu 1939 roku wizytator ten przybył do mojej szkoły (byłem uczniem III klasy szkoły podstawowej). Wszedł do klasy w czapce „budionowce” z gwiazdą, opaską czerwoną na ramieniu i długim karabinem na sznurku. Pani nauczycielka kazała nam wstać. „Wizytator” rozsiadł się w ostatniej ławce i zezwolił na dalsze prowadzenie lekcji ale w języku rosyjskim. Biedna nasza pani pochodząca z Mazowsza, czy Kurpii prawie nie знаła tego języka, ale wizytator też języka tego nie znał. Uczniowie, którzy znali trochę język białoruski starali się nauczycielce pomagać.



Po pewnym czasie „wizytator” pochwalil „chorosio, chorosio”, co znaczyć miało „dobrze, dobrze” i wyszedł.

Widziałem go jeszcze raz kiedy przyprował do naszego domu oficera NKWD i „soldatów” w dniu naszej wywózki, ale do mieszkania nie wszedł, czyżby się wstydził?

#### Deportacja

W dniu 10 lutego 1940 roku o godzinie 4 rano do naszego mieszkania wkroczył młody oficer NKWD o ciemnej karnacji (chyba Gruzin czy Ormianin) ... i 2 „soldatów”, kilku innych i przewodnik pozostali przed domem. Oficer odczytał „wyrok”, że za jakies „przestępstwa” naszej rodziny będziemy wywiezieni ale nie powiedział dokąd? Kazał szybko się zbierać bo przed domem czeka już środek transportu. Zorientowałem się, że ~~ni~~ był to ~~nie~~ zwykły człowiek, po cichu mówił do naszego sąsiada, że musimy zabierać dużo odzieży i żywności ponieważ czeka nas daleka podróż.

Na stacji węzłowej Roś czekały już bydłce wagony, do których ładowano po 60-70 osób. Na środku wagonu stał piecyk „koza”, trochę węgla i drzewa. Przy drzwiach w podłodze był mały otwór do załatwiania „potrzeb fizjologicznych”. Początkowo starsi a zwłaszcza kobiety starali się osłaniać to miejsce kocem lub prześcieradłem, ale po wielu dniach podróży już się niekrępowano. Po raz pierwszy otworzono drzwi wagonu po kilku dniach podróży, aby nabrać do naczyń trochę śniegu lub „kpiatku”, pobrać nowy zapas węgla i drzewa. Po pewnym czasie na postojach wynoszono z wagonów pierwszych zmarłych, głównie dzieci i starców.

Po około miesiącu podróży dotarliśmy na północ ZSRR w rejon Plesieck za Archangielskiem. Zamieszkaliśmy w tajdze „posiołek” Małej Izby. Było nas tam kilkaset osób. Zakwaterowano nas w starych często bez okien barakach po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu. Baraki były brudne i zarobaczone. Parę dni przed naszym przybyciem przetrzucono z tego posiołka dotychczasowych mieszkańców podobno Tatarów i Kałmuków do innych miejscowości Syberii. Baraki zbudowane były z sosnowych okraglaków, poobtykane mchem. Pod mchem gnieździło się robactwo, głównie pluskwy w ogromnych ilościach. W nocy gryzły okropnie. Latem dokuczały meszki.

Następnego już dnia wszystkich mężczyzn jak też kobiety, które nie miały małych dzieci w wieku przedszkolnym skierowano do pracy w tajdze jako „lesoruby” przez 10

godzin. Dzieci musiały chodzić do 4-klasowej szkoły rosyjskiej o jedną klasę niżej, bo podobno miał być wyższy poziom nauczania”.

Mnie i moją siostrę Kazimierę zakwalifikowano do klasy drugiej. Lekcje odbywały się w jednym pomieszczeniu, ~~Wszystkich~~ 4 klas / prowadzone w tym samym czasie przez jedną nauczycielkę. Nauka trwała przez 8 ~~tygodni~~ miesięcy zimowych i w tym czasie dzieci otrzymywały 250 gramów chleba i kubeczek mącznej zupy tzw. „balbatucha”. Taka porcja przysługiwała też niepracującym kobietom (pracujący otrzymywali 400 g chleba). Latem i jesienią dzieci zbierały jagody, borówki, żurawinę i wymieniali na chleb i ziemniaki.

Uczniowie przez pozostałe 4 miesiące letnie pracowali w tajdze wykonując często ciężkie prace jak obcinanie i noszenie gałęzi, korowanie drzew sosnowych, sianokosy itp.

W tajdze znaleźli się nie tylko „wrogowie i bogacze” ale też bardzo biedne rodziny tylko dlatego, że byli Polakami.

W naszym baraku mieszkała 9-osobowa rodzina. Kiedyś zapytałem Janka, za co ich wywieziono. Powiedział, że są „kulakami”. Zapytałem ile wobec tego mieli hektarów ziemi i zwierząt domowych, powiedział, że mieli 14 hektarów, 3 krowy, 1 konia i żrebię, trochę trzody i ptactwa.

Rodzina ta wymarła z głodu i chorób w drodze pod Bucharę w Uzbekistanie. Były próby ucieczki z posiołka ale udało się to tylko studentowi o nazwisku Bajor, który po paru tygodniach dotarł szczęśliwie do Warszawy.

W tajdze blisko naszego posiołka było kilka wsi miejscowej ludności. Polki chodziły tam aby wymienić różne rzeczy na żywność. Mieszkańcy tych wsi byli też bardzo biedni ludzie ale dobrzy i uczciwi, gotowi podzielić się kawałkiem chleba. Bardzo pobożni. W rogu izby mieszkalnej znajdowały się ikony. Wchodząc tam padali na kolana żegnając się trzykrotnie. Bywałem tam często bo za zbieranie chrustu na opał otrzymywałem coś do jedzenia.

Jestem przekonany, że płynie w ich żyłach słowiańska krew, w tym naszych rodaków zesłanych tam przed laty.

Wyraźnie było widać, że współczują nam. W posiołku pracowała młoda nauczycielka Raisa Jakowlewna, która stale przebywała w towarzystwie naszych dziewcząt. O to samo zabiegał przystojny i sympatyczny sklepikarz Wania. Starał się przebywać w towarzystwie naszej „kawalerki”. Jedna z polek Jadwiga Jastrzębska w 1941 roku wyszła za mąż za Wanę i jako jedyna pozostała w Małych Izbach mimo protestów i próśb matki i siostry.



Poznałem jednego z synów komendanta posiołka mego rówieśnika Aloszę, był bardzo miłym chłopcem. Kiedyś zaproszony zostałem do ich baraki. Komendanta nie było jeszcze w domu.

Matka przygotowywała kolację (czarny chleb, trochę słoniny i cebula), poczęstowała mnie. Jak zobaczyła że jem to bardzo łapczywie poglaskała mnie po głowie mówiąc „biedny malczuk”. Ponieważ był to czas kiedy wracał z pracy komendant, podziękowałem i szybko uciekłem. W kilka dni później przed ich barakiem rozmawiałem z Aloszą. W tym czasie wyszedł komendant, nie wiedziałem co robić, ukloniłem się grzecznie aż tu pułkownik podał mi rękę i zapytał „kac dzieła Micia”. Od tego momentu już się nie bałem. Komendant pochodzący z centralnej Rosji za popełnione tam „błędy” został skierowany na 5 lat do pracy w tajdze i w ten sposób znalazł się w naszym posiołku.

W baraku szkolnym wisiały portrety przywódców komunistycznych. Często nas wizytował rejonowy inspektor szkolny, który zawsze pytał nas czy wiemy, kto są ci na portretach. Kazał recytować, śpiewać „tri tankista, cztery maszynista, ekipasz maszyny bajewoj”. Nauczycielka Raisa była wystraszona czy dobrze zaśpiewamy. Jak wypadło to dobrze była rozpromieniona bo inspektor chwalił „maladziec”. Dziewczęta recytowały wiersze o wielkim Stalinie za co były wynagradzane przez inspektora po kilkanaście cukierków „groszków”, a nas chłopców za śpiew chwalił „gieroję” i zapewniał, że w przyszłości będziemy dobrymi żołdaczami niezwykniętej armii czerwonej i obywatelami wielkiego Związku Radzieckiego, a teraz trzeba się uczyć i dobrze pracować bo wszystko co robimy widzi towarzysz Stalin. Biedna Raisa bledła ze strachu aby któryś nas nie zaśmiał się lub nie wyraził innego zdania, bo my jako dzieci mieliśmy już na ten temat własne spojrzenie, głównie dzięki nędzy w jakiej tam żyliśmy.

Po zawarciu 30 lipca 1941 roku układu Sikorski-Majski i organizacji Wojska Polskiego na południu ZSRR oświadczono nam, że jesteśmy wolni i możemy wyjechać w kierunku Uzbekistanu, gdzie formowały się polskie jednostki wojskowe. Po otrzymaniu tej informacji wielu mężczyzn jak również i kobiet wyjechało celem wstąpienia do wojska polskiego. Natomiast wszyscy pozostali mieszkańcy posiołka postanowili wyjechać we wrześniu 1941 roku przez Kazachstan do Uzbekistanu, aby znaleźć się bliżej wojska i dostać się pod jego opiekę. Podróż pod Bucharę trwała wiele tygodni. Przez pierwszy tydzień podróży na niektórych stacjach otrzymywaliśmy wszyscy po kawałek chleba, jakąś zupę mączną i "kapiatok" (woda). A dalej przestano się nami interesować.

W czasie podróży na południe ZSRR NKWD aresztowało większość mężczyzn byłych urzędników państwowych i zawodowych wojskowych w tym też mego ojca. Jak dowiedziałem się potem znaleźli się oni w łagrze pod Świerdłowskiem.

W wagonach pozostały kobiety z dziećmi i starcy. Od tego czasu podróż stała się gehenną, głód i choroby. Rodziny, które miały jakąś odzież wymieniały ją na ziemniaki czy buraki i dzięki temu jakoś żyły, natomiast inne dosłownie całe rodziny umierały z głodu i chorób. Zmarłych pozostawiano na dworcach, tam gdzie zatrzymywał się pociąg.

Moja rodzina miała szczęście, że tę podróż przeżyła. Mama i sześcioro rodzeństwa od 17 do 2 lat dojechaliśmy w komplecie pod Bucharę do miejscowości Kızıłtopo. Przewieziono nas do kolchozu w miejscowości Szafrikan. Zamieszkaliśmy w starym, brudnym, rozwalającym się mużulmańskim meczecie zamienionym na magazyn bawełny. Nie proponowano nam żadnej pracy, ani nie przydzielano nam żadnych artykułów żywnościowych. Jedliśmy trawę, korzonki, liście i korę z krzewów owocowych. Byliśmy tam przez około 3 miesiące. Wiele osób zaczęło chorować na tyfus i krwawą biegunkę. Pewnego dnia jedna z polek, która przebywała w tym samym kolchozie poinformowała moją mamę, że ma zamiar opuścić kolchoz i udać się z synem do polskiej placówki wojskowej w Bucharze, a następnie do wojska polskiego w miejscowości Kirmino. Mama moja poprosiła ją o zabranie również mnie i tak też się stało. Dzięki temu z dniem 1 marca 1942 roku stałem się junakiem.

Pod placówką w Bucharze nawet przez parę dni koczowały tłumy głodnych i chorych starców, kobiet i dzieci szukających pomocy, ale nie wszyscy tej pomocy i opieki doczekali. Umierali tam masowo z głodu i chorób.

Pamiętam, że placówka pracowała tylko w określonych godzinach. Działali tam odkarmieni urzędnicy, większość już w mundurach angielskich. Dowiedziałem się potem, że każdy przybyły tam Polak powinien otrzymać trochę sucharów i parę kostek cukru.

Ja tej pomocy nie otrzymałem a tylko wręczono mi karteczkę z napisem Kiermino gdzie przy VII, czy IX dywizji WP organizowano szkołę junaków. Do Kiermino kilkaset km od Buchary jechałem różnymi środkami i sposobami najczęściej na stopniach wagonów towarowych. Były wypadki, że kolejarze rosyjscy zrzucaли w biegu tych ludzi. Wielu ginęło lub zostało kalekami. Ja też tak podróżowałem. Raz przykucnąłem na schodach wagonu sanitarnego z rannymi żołnierzami rosyjskimi. Było bardzo zimno ale trzymałem się dzielnie ciesząc się, że zbliżam się ciągle do Keirmino. Nagle usłyszałem, że nade mną ktoś otwiera drzwi wagonu. Zdrętwiałem ze strachu, że zaraz otrzymam kopa i wylecę z pędzącego pociągu, ale zamiast tego ten ktoś łapie mnie za długie, zawieszony włosy i



stawia na korytarzu wewnątrz wagonu. Przede mną stał wysoki rosyjski oficer z ręką na temblaku i przyjaźnie się uśmiecha. Z przedziałów zaczęli wychodzić ranni żołnierze.

Oficer zapytał mnie kto jestem i dokąd jadę? Poinformowałem, że jestem Polakiem i jadę do polskiego wojska w Kermino. Wzbudziło to ogólny śmiech. Oficer wesolo powiedział, że jestem ich sprzymierzeńcem ... wszyscy zaczęli się śmiać. Nagle zauważyłem, że jeden z rannych jadł kawał mięsa (była to konina), wpatrzyłem się w to błagalnie. Widząc to żołnierz chciał się ze mną podzielić. Ale oficer krzyknął „durak - on pogibnie” (umrze) widzisz jaki on jest chudy i głodny. Żołnierz przyniósł z przedziału kawałek suchara za co byłem mu wdzięczny. Oficer powiedział, że nie może zaprosić do przedziału bo jestem bardzo „zawszony” ale mogę spokojnie jechać na korytarzu. Tak dotarłem do Kermino. Po przybyciu siedziałem pod nasypem kolejowym był już późny wieczór, było mi bardzo zimno, ponieważ wieczory i noce są chłodne, byłem obdarty i bosy. Zauważyłem, że do stojącej niedaleko lepianki wchodzi mężczyzna w angielskim mundurze. Kiedy nastąpiła już noc, wkradłem się do sieni lepianki i skuliłem się w kącie na klepisku. Po pewnym czasie usłyszałem, że ktoś stoi nade mną. Spodziewałem się, że zaraz zostanę wyrzucony. Ten ktoś oddalił się w głąb tego pomieszczenia, za chwilę wrócił i przykrył mnie jakimś dywanikiem czy chodnikiem, w którym było pełno piasku ale było mi już cieplej. O świcie szybko oddaliłem się aby ustawić się w kolejce gdzie pracowały komisje lekarskie.

Zanim dostałem się do tej szkoły myślałem cały czas czy dostanę coś do jedzenia, byłem głodny i bardzo słaby. W ciągu dnia trzykrotnie na gołym stepie w żarze słońca stawałem przed komisją lekarską, które kwalifikowały do wojska i szkół junackich. Komisje składały się z 3 osób: lekarza wojskowego, oficera i podoficera pisarza. Osoby te były już w mundurach angielskich. Do komisji oczekiwało się w kolejkach przez wiele godzin. Po raz pierwszy zostałem odrzucony przez komisję ponieważ miałem 11 lat, a warunkiem przyjęcia do szkoły junackiej było 13. Po pewnym czasie wraz z moim kolegą Heniem dobrnęliśmy do drugiej komisji, gdzie oficer zapytał nas do której klasy chodziliśmy na Syberii. Poinformowaliśmy, że przeszliśmy do klasy 3, i ponownie zostaliśmy odesłani. Po raz trzeci tegoż dnia dobrnęliśmy w ostatniej chwili pracy komisji tuż przed zachodem słońca i na pytanie lekarki ile mam lat, stanąłem na baczność i poinformowałem po wojskowemu „melduję, że mam 13 lat i mój kolega również ma tyle”. Wówczas siedzący przy stoliku oficer w stopniu kapitana zapytał mnie, a do której klasy chodziliście na Syberii, skłamałem że do 4 klasy. Kapitan zarzucił kłamstwo (co było prawdą). Pani doktor najprawdopodobniej zlitowała się nad nami bo powiedziała, panie

kapitanie on chyba nie kłamie, on na pewno ma tyle lat tylko jest wygłodzony, zabiedzony i obdarty. I to było koniec gehenny w tym dniu. Podoficer przeprowadził nas do dużego namiotu, gdzie na piasku, na brudnych kocach leżało już kilku chłopców starszych i w naszym wieku i to była nasza pierwsza drużyna. Podano nam po raz pierwszy po małym sucharku i trochę zbożowej kawy. Była to wielka radość, że w ciepłym namiocie mogliśmy spokojnie przespać i mogliśmy liczyć na dalsze wyżywienie. Następnego dnia na śniadanie podano nam większą porcję sucharka, po pół kubeczka kawy i kostkę cukru. Po uzupełnieniu drużyn przeszliśmy szczegółowe badania lekarskie, ostrzyżono nas, wykapano i umundurowano w mundury angielskie, najczęściej 2 lub 3 numery za duże. Ale co to była za radość, że przestało nas gryźć wszelkie robactwo i nareszcie było ciepło. Pierwszy obiad żołnierski to 2 łyżki zupy i 1 łyżka kaszy z kilkoma małutkimi kawałkami konserwy mięsnej. Następnego dnia rozpoczęło się życie żołnierskie i większe porcje żywnościowe. W mojej szkole junackiej i Kermino i Narpaju było nas 6 kompanii junaków w wieku 13-18 lat. Ja z moim kolegą Heniem znaleźliśmy się w 6 kompanii dla najmłodszych. Po miesiącu byliśmy odkarmieni i wyleczeni. Przechodziliśmy normalne zajęcia ogólne i wojskowe.

Po moim wyrwaniu się z kolchozu i dostaniu się do szkoły junaków, nasza mama nadal szukała ratunku dla 5-ciorga pozostałych dzieci. Dowiedziała się, że w Bucharze jest organizowany polski sierociniec. Zabrała dwoje starszych dzieci (Kazimierę i Wacława) i po różnych perypetiach dotarła do Buchary. Po wielu godzinach stania w kolejkach dostała się do budynku. Przy stole siedziała młoda kobieta i prowadziła zapisy dzieci. Niedaleko stała kobieta podobno kierowniczką sierocińca i rozmawiała z jakimś tęgim mężczyzną z brodą. Nagle podeszła do stołu i powiedziała „Różo, koniec zapisów bo nie ma więcej miejsc!”

Nie pomogły błagania mamy, że w kolchozie pozostało jeszcze troje chorych, głodnych dzieci. Wrócili do Szafrikanu gdzie niedługo zmarła 6-letnia Jadwisia.

Do dziś zadaje pytanie, czy naprawdę nie było miejsc w sierocińcu? Często też myślę co to było za kierownictwo sierocińca polskich dzieci?

Pewnego dnia maszerowaliśmy z zajęć i nagle usłyszałem, że ktoś mnie woła „Mietek”. Zauważyłem, że wśród ogromnej ilości obdartych i wynędzniałych Polaków, głównie kobiet i dzieci jest mama z moim rodzeństwem. W pierwszej chwili chciałem się oderwać i biec do mamy, ale szef mojej kompanii natychmiast polecił wstąpić do szeregu. W obozie, gdzie stacjonowała moja kompania, poinformowałem podczas obiadu kolegów z drużyny, że mam zamiar wymknąć się do mojej rodziny. Zabrałem do menażki moją



obiadową kaszę, również dał mnie swoją porcję kolega, przemknąłem się pod drutami i pobiegłem szukać rodziny. Mama jak też i rodzeństwo byli obdarci i bardzo wynędzniali. Zauważyłem brak jednej z moich sióstr Jadwisi. Jak się okazało Jadwisia zmarła w drodze z kolchozu Szafrikan do Kermino. Mama pogrzebała ją przy drodze w piaskach pustyni.

Następnego dnia po zajęciach znów przekradłem się do rodziny na stepie. Zauważyłem brak najmłodszego 2-letniego brata Stasia, zmarł w nocy i mama pogrzebała go również w stepie.

Trzeciego dnia ponownie przedarłem się na step, niestety rodziny mojej już tam nie zastałem. Dowiedziałem się od koczujących tam Polaków, że wiele osób przewieziono z powrotem do kolchozów na czas aż władze sowieckie otworzą granicę w Krasnowodsku i zezwolą na wyjazdy wojska i ludności cywilnej do Persji.

#### Persja

Moja szkoła junacka w pierwszej kolejności razem z wojskiem została przerzucona z Krasnowodska przez morze Kaspijskie do Persji. W Pahlevi nad morzem były przygotowane namioty wojskowe, w których zostaliśmy zakwaterowani. Ponownie przeszliśmy badania lekarskie, otrzymaliśmy nowe umundurowanie (poprzednie spalono) i przerzucono nas do Teheranu. W Pahlevi wielu junaków i junaczek pozostała na zawsze na cmentarzu polskim. Tam pozostał też mój kolega Henio z Kermino. W Pahlevi zmarło wielu junaków nie tylko z powodu chorób i wycieńczenia. Otrzymaliśmy pierwszy żółd w perskich tomanach i szajach. Za wzgórzami niedaleko naszego obozu był perski bazar, gdzie można było kupić owoce, warzywa, jaja. Henio poinformował mnie, że zna przejście pod ogrodzeniem obozu, toteż tym przejściem dostaliśmy się na bazar. Henio kupił pomidory (dziwnie zielone), ja kilkanaście jaj na twardo. W drodze do obozu kolega zjadł połowę tych pomidorów, ja połowę kupionych jaj. Henio w nocy zmarł. Mnie uratowała rycyna. Do dziś lubię jaja na twardo.

W Pahlevi obóz pierwszy był przeznaczony dla przyjeżdżającej z Rosji ludności cywilnej. Z mego junackiego obozu obserwowałem płynące statki w kierunku portu Pahlevi. Dowiedziałem się, że statkami tymi przyplývają cywile tzw. rodziny wojskowe. Statki zatrzymywały się na redzie, do których przyplýwały holowniki perskie i zabierały tych ludzi do pierwszego obozu przejściowego gdzie przechodzili oni badania lekarskie, otrzymywali czystą odzież, posiłki i po kilku dniach przerzucano tą ludność w kierunku Teheranu, gdzie były zorganizowane specjalne obozy dla ludności cywilnej. Następnie po

wyłączeniu przewożono do Karaczi w Pakistanie, Bombaju w Indiach lub bezpośrednio do Afryki. Drogę z Persji do Indii odbyła też Hanka Ordonówna z dziećmi sierotami. W Pahlevi nie wolno nam było kontaktować się z ludnością cywilną ze względu na choroby i robactwo. Jednak mimo to ja ciągle myślałem, że może przyplýnąć moja rodzina. Różnymi sposobami starałem się dotrzeć do portu z myślą, że odnajdę moich bliskich. Raz przekradając się brzegiem morza tylko w bieliznie wojskowej omal nie utonąłem. W drodze miałem wiele innych przygód głównie z patrolami wojskowymi. Pewnego dnia spostrzegłem w tłumie naszych rodaków moją mamę. Była strasznie wynędzniała, obdarta i chora. Była sama. Zapytałem mamę gdzie są moje siostry i brat. Z ogromnym wysiłkiem poinformowała, że brat Wacław i siostra Leonarda nie żyją. Brat zmarł w kolchozie, siostra podobno zmarła w szpitaliku kolchozowym, chorując na tyfus. Brudny jakiś sanitariusz czy felczer (Uzbek) poinformował mamę, że siostra nasza w nocy zmarła "podochła", jednak zwłok mamie nie pokazano i polecono wynosić się natychmiast. Mama została sama. Są to straszne wspomnienia, tego nie da się wymazać z pamięci. Natomiast siostra Kazimiera dostała się do szkoły junaczek w Karkin Batasz po uzbecku "Dolina śmierci" o czym nie wiedziałem. Następnego dnia ponownie udało mi się dostać do obozu pierwszego, ale mamy tam już nie zastałem. Została przewieziona do Teheranu. Myślałem co się dzieje z moją siostrą junaczką. Dowiedziałem się od szefa kompanii, że o kilka obozów dalej nad morzem Kaspijskim stacjonuje szkoła junaczek. Postanowiłem ją odszukać. W niedzielę kiedy mieliśmy wolny czas od zajęć otrzymałem zgodę szefa kompanii na odszukanie obozu junaczek. Przechodząc między namiotami tego obozu, nagle usłyszałem głos mojej siostry. Kiedy z Kermino powysyłano chorych i głodnych ludzi z powrotem do kolchozów, moja siostra Kazimiera szczęśliwie dostała się do szkoły junackiej w Karkin-Batasz „Dolina śmierci” (miejscowość najbardziej malaryczna w całym Uzbekistanie). Junaczki zaczęły tam chorować na żółtą febrę i masowo umierać. W pomieszczeniu gdzie mieszkało 18 dziewcząt większość zmarło. Kazimierę, która była już nieprzytomna sanitariusze stwierdzili, że nie żyje przeniesiono do pomieszczenia dla zmarłych, skąd następnie wywożono na pustynię, gdzie zakopywano we wspólnym grobie (dole). Szczęśliwie pielęgniarka pani Zajączkowska (Kazimiera do dziś pamięta jej nazwisko) stwierdziła, że siostra jeszcze żyje. Dołączono ją do grupy żyjących i przeniesiono do miejscowości Guzary. Tam zmarła najlepsza koleżanka siostry Marysia Toloczówna.

Po kilku tygodniach zarówno szkołę junaków i junaczek wraz z innymi jednostkami wojskowymi przerzucono pod Teheran. Tam dokonano tzw. selekcji obu szkół junackich.



Starsze junaczki przydzielono do Polskich Służb Pomocniczych, natomiast starszych junaków skierowano do szkół kadeckich w Palestynie i Libanie (wielu zginęło pod Monte Cassino). W Teheranie większość z nas była bierzmowana przez biskupa polowego Józefa Gawlinę (w 1994 roku odwiedziłem grób biskupa oraz generałów Andersa i Duchana na cmentarzu pod Monte Cassino). Z Teheranu przetrzucono młodszych junaków i junaczki do Isfahanu. Kompanię moją zakwaterowano w 15 zakładzie gdzie mieliśmy dobre warunki. Mieszkaliśmy w budynku pałacowym oddanym przez właściciela na czas naszego pobytu z dużym pięknie utrzymanym ogrodem. W Isfahanie dosłownie wszyscy łącznie z opiekunami przeszliśmy straszną "chorobę" świerzbi i czyraki. Na całym ciele mieliśmy rany od ciągłego drapania się nawet we śnie. Podobno choroby te wychodziły z nas po przebytej nędzy w Rosji. Dowódcą szkoły junackiej był bardzo dobry ale wymagający porucznik Stefan Józwa, a nauczycielką podporucznik Olga Zasadowiczowa. W Isfahanie otrzymałem świadectwo ukończenia IV klasy szkoły podstawowej (do dziś mam to świadectwo). ~~W Isfahanie odwiedził nas w Pałacu~~ Szkołę junaków odwiedził ~~nas~~ w <sup>Persji</sup> Pałacu naczelnym wódz generał Władysław Sikorski i generał Władysław Anders. Generał Sikorski wizytując nas rozmawiał z nami bardzo serdecznie, pytał nas czy wiemy, co się stało lub gdzie są rodzice. Natomiast generał Anders traktował nas bardzo po żołniersku, pozdrawiał nas "czółem junacy" i przechodził dalej. Wówczas jako 13-letni chłopiec (a naprawdę 11-letni) nie rozumiałem, że właśnie w ten sposób wychowywano i przygotowywano nas do twardej służby wojskowej, chociaż my po pobycie z ZSRR już byliśmy dość "twardzi". Wielu z nas od najmłodszych lat przygotowywani byliśmy do przyszłej służby zawodowej w wojsku. Ja jako najstarszy w rodzie poci męskiej od dziecka przyswajany byłem głównie przez dziadka Jerzego w jego posiadłości Pożarki do przyszłej służby w kawalerii. Już w wieku 5 lat sadzano mnie na "Sokola" konia kawalerskiego, na widok czego mama i babcia Emilka prawie mdlały ze strachu. Parę razy spadłem z siodła i chociaż trochę się potłukłem ale miałem już zakodowane, że kawalerzysta nigdy nie płacze.

Dziś przyznaję się bez wstydu, że wiele razy w życiu płakałem a zwłaszcza po stracie w Uzbekistanie czwórki mego rodzeństwa.

Uzyskałem swego czasu informację, że w okolicach miejscowości Szafrikan żyje czy żyła Polka. Ciągle myślę, że może to moja siostra Leonarda? Pisałem wszędzie do Czerwonego Krzyża w Warszawie i Moskwie, ale po długim oczekiwaniu otrzymywałem negatywne odpowiedzi. W dniu 28 października 2003 roku napisałem tym razem do archiwum w Taszkencie i czekam.

## Republika Południowej Afryki

Na początku 1943 roku przeniesieni zostaliśmy z Persji (Isfahan) do Oudtshoorn w Unii Południowej Afryki. Przybyło tam nas około 500 chłopców i dziewcząt głównie junaków i junaczek oraz 50 osób kadry. Tam też znalazła się moja siostra Kazimiera, też junaczka. W Oudtshoorn przydzielono nam część angielskiego wojskowego ośrodka dla celów szkoleniowych, gdzie przebywaliśmy aż do zakończenia wojny. Warunki bytowe i szkoleniowe były doskonałe. Oudtshoorn to miejscowość półpustynna, należy do najzdrowszych w RPA.

W ośrodku były kaplice, świetlice, klub "YMCA" sportowy, zespoły artystyczne i obiekty sportowe. Często odbywały się spotkania z angielską młodzieżą szkolną, wojskową oraz skautyngiem.

Zajęcia wynikające z programu wojskowego oraz kultury fizycznej prowadzili wojskowi instruktorzy. Często organizowano wycieczki krajoznawcze do szeregu bardzo ciekawych miejscowości i obiektów.

W Oudtshoorn odzyskiwaliśmy nie tylko zdrowie ale nadrabialiśmy program szkolny dla naszego wieku oraz wychowanie w kierunku zachowania naszej polskiej tożsamości.

Tam w lipcu 1943 roku dotarła do nas wiadomość o tragicznej śmierci generała Sikorskiego. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy pamiętając, o tym że dzięki Niemcy wydostaliśmy się z piekła sowieckiej władzy.

Mieliśmy bardzo dobrych oddanych ale wymagających wychowawców a zwłaszcza oddelegowanych z wojska oficerów. Jednym z najgroźniejszych był kapelan kpt. Józef Czerniecki, który karał nas "tęgo". Wyprowadzony przed którym żadna ucieczka była niemożliwa. Poznałem to na własnej skórze, bo otrzymałem raz najwyższy wymiar kary 10 trzciniek oficerskich na gołą "...", za to, że zamiast na modlitwę w kaplicy obozowej poszedłem na boisko piłkarskie, a poza tym za pyskowanie. Dziś wspominam to z dużym sentymentem i przy każdym spotkaniu towarzyskim czy rodzinnym opowiadam o otrzymanym "wyroku".

Inną bardzo groźną postacią w Oudtshoorn był ks. Franciszek Kubieński. Wielkie chłopisko, stale wieczorami wizytował do późna teren obozu, trzymając w ręku sękatą lągę, z której bardzo często korzystał, ponieważ wśród nas było wiele grup łobuzów, do których i ja się zaliczałem. Było wielu innych wychowawców których do dziś bardzo miło wspominam jak: por. Stanisław Bielski, który czuwał nad naszym zwłaszcza żołnierskim wychowaniem oraz nad naszą "wysoką kulturą". Stanisław Bieliński, czy też pani Helena



Krzeszowska (szefowa żywienia), która bardzo często ratowała nas łobuzów przed groźniejszymi "wyrokami". Mieliśmy też i różne wesołe przygody. Koło baraku rosły krzewy rycynusów. Myśleliśmy, że są to orzeszki. Nie trudno się domyślać jaki to był skutek ...

Około 10 km od obozu była duża ferma strusi, toteż któregoś wolnego dnia wybraliśmy się w kilku po jaja. Dla sprawdzenia czy w piasku są jaja delegowaliśmy naszego kolegę Witka P. (słynął z wyjątkowo dużych stóp). Nagle dominujący struś zaczął atakować intruza. Witek uciekał, z powrotem bardzo szybko znalazł się po drugiej stronie ogrodzenia dzięki otrzymanemu od strusia "kopa". Więcej nie wybieraliśmy się tam. W Oudtshoorn postanowiłem oderwać się od grupy łobuzów i przejść do grupy "kulturalnej". Najpierw zgłosiłem się do zespołu chóru chłopięcego, ale bardzo szybko pan kapelmistrz odkrył, że nie mam słuchu i to był koniec przynależności do chóru. Jedną z pań nauczycielek przygotowywała przedstawienie pt. "Powrót taty", a ja tym razem zapragnąłem zostać aktorem tzn. zagrać rolę herszta zbójców. W dniu przedstawienia w YMCE przyklejono mi wąsy i brodę jakimś bardzo cuchnącym klejem. Wyszedłem na scenę i wygłosiłem swoją kwestię "pierwszy bym strzaskał pałkę na twój głowie gdyby nie dziełek pacierze". To był znów koniec moich osiągnięć artystycznych. Wróciłem do grupy łobuzów, bo tylko tam mogłem się wykaazać wszelkimi innymi osiągnięciami.

Obóz położony był na przedmieściu za rzeką, do miasta przechodziło się mostem wiszącym. Z drugiej strony był poligon ćwiczebny, gdzie znajdowaliśmy różne niewypały i często były poważne wypadki. Robiliśmy samopały, z których strzelaliśmy najczęściej nocą. Głównym specjalistą od produkcji samopali był Zbyszek Marchuta i Józef Konopacki. Zbyszek Marchut zmarł w 2002 roku w Kanadzie a Józef Konopacki mieszka w Opolu. Spotykamy się z Józkiem na Zjazdach Afrykańczyków regularnie od 1989 roku. Na cmentarzu w Oudtshoorn pozostało na zawsze kilka naszych koleżanek i kolegów nie tylko z powodu chorób. Filip Nowacki i Czesław Kordoński zginęli tragicznie.

### Afryka Wschodnia

W 1945 roku wezwano nas z siostrą Kazimierą do biura komendy obozu i poinformowano, że nasza mama po pobycie w Karaczi i Bombaju znajduje się w osiedlu polskim Tengeru w Tanganice. Toteż niedługo po odbyciu kwarantanny w Makindu na granicy parku narodowego nastąpiło spotkanie. Spotkaliśmy naszą mamę.

W Makindu przeżyłem bardzo dużo niezapomnianych przygód. Zaraz po przyjeździe do obozu nie udałem się jak inni na wypoczynek, ale zacząłem penetrować teren. Idąc

ścieżką przez wysoką trawę sioniową doszedłem do ładnego białego parterowego domku. Zauważyłem otwarte okno toteż zajrzałem do środka. Zobaczyłem dużo różnej broni palnej, maczety i noże. Nagle poczułem czyjąś rękę na swoim ramieniu, odskoczyłem i zobaczyłem potężnego człowieka, który coś mówił po angielsku. Był to plk - komendant naszego obozu kwarantanny, szef murzyńskich "ascari" (policjanci), i służby parku. Wytłumaczyłem się przed pułkownikiem, że nie chciałem zrobić nic złego, a tylko podziwiałem zbiór broni, której jeszcze nigdy nie widziałem. Z tą chwilą "wkradłem się" w łaski wielkiego myśliwego. Jeszcze tego samego dnia zabrał mnie na objazd części parku. Samochodem kierował sam, a ja siedziałem obok, na skrzyni siedziało dwóch murzynów oraz młody ksiądz Włoch, który dostał się do niewoli w Afryce. Zaraz za obozem ogarnął mnie dreszcz ogromnej emocji. Po prawej stronie równolegle kilkanaście metrów od samochodu szła lwia rodzina, a nieco dalej w tym samym kierunku trzy ogromne nosorożce. Po drugiej stronie w niedalekiej odległości przemieszczały się stada antylop, bawoły, zebry i strusie. W szoferce był sztucer i dubeltówka. Sądziłem, że pułkownik nie widzi lwiej rodziny, toteż zwróciłem na to jego uwagę. Ale jakie było moje zdziwienie kiedy uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu mówiąc coś czego nie rozumiałem. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że jechaliśmy na objazd terenu, a nie na polowanie. Ale uczestniczyłem też w polowaniu. Raz pułkownik zabił lwa, w obawie że nas zaatakuje, a parę dni później starego samotnego słonia. Pewnego dnia szczęśliwie wycofaliśmy się przed atakiem nosorożca. Całą jedną noc spędziłem na tzw. ambonie na ogromnym baobabie nad wodopojem, gdzie zobaczyłem nieopisane widoki. Przed zachodem słońca zwierzęta całymi stadami przychodziły nad jezioro. Zwierzęta piły wodę zgodnie obok siebie. Dopiero po zapadnięciu zmierzchu słychać było kwik, ryczenie, beczenie, to drapieżniki szykowały sobie pożywienie.

W roku 1963 spotkałem w Olsztynie dziennikarza i podróżnika po Afryce wschodniej Leona – Giżyńskiego czy Czyżewskiego, nazwiska już dziś nie pamiętam, który poinformował mnie, że również znał pułkownika z Makindu. Pułkownik zginął 1961 roku stratowany przez bawoły.

Z Oudtshoorn do Tengeru przyjechało około 50 osób młodzieży, których matki były też w tym osiedlu: Władysław Czerw, Mieczysław Królewicz, Józef i Władysław Cisakowie, Zbigniew Marchut, Czesław i Marian Konieczny, Leon Popławski, Adam Poradowski, Edward Woś, Kazimiera i Mieczysław Pożarscy. Innych nazwisk dziś już nie opamiętam.



Osiedle Tengeru było największym osiedlem polskim w Afryce. Mieszkało tam około 5 tysięcy ludzi, katolików, prawosławnych, żydów i kilka rodzin polskich Tatarów spod Białegostoku i Wołynia.

W sąsiedztwie mieszkała liczna rodzina tatarska Szabanowiczów, 18-letnia córka uczennica gimnazjum krawieckiego przeszła na katolicyzm, przybrała imię Felicja i została wykreślona z rodziny na zawsze.

Obóz położony u podnóża góry Meru, nad jeziorem wulkanicznym Dulutti nad rzeką Malala około kilkudziesięciu mil od góry Kilimandżaro między 2 miastami Arusha i Moshi. Innymi większymi w Afryce osiedlami polskimi to Masindii, Koja, Marandelas, Rusape, Bwana Kubwa, Lusaca, Kondo, Ifunda, Kidugala, Morogoro, Rongai. Ogółem były 22 obozy z około 20 tysiącami Polaków, głównie matek z dziećmi, sierocińce i internaty. Ojcowie tych dzieci najczęściej poginęli w łagrach sowieckich a matki zmarły z głodu i chorób w kolchozach Kazachstanu i Uzbekistanu.

W osiedlach zorganizowane były szkoły powszechne, gimnazja i w większych osiedlach licea. W Tengeru były gimnazja ogólnokształcące, kupieckie, krawieckie, techniczno-mechaniczne oraz szkoła muzyczna, rolnicza i liceum.

Dobrze działające harcerstwo pod komendą Zdzisławy Wójcik, były świetlice "sodalitacji mariańskiej", klub "YMCA", zespoły artystyczne i sportowe. Był też teatr osiedlowy i boiska sportowe, korty tenisowe, plaża. Był szpital i przychodnie lekarskie.

Wybudowano kościół katolicki, cerkiew i bożnicę. Współżycie mieszkańców było bardzo zgodne. Osiedle było podzielone na grupy na czele, których stali kierownicy grup. Komendantem głównym obozu był Anglik płk Minnery a zastępcą pan Korzeniowski.

Było osiedlowe gospodarstwo hodowlane, gospodarstwo ogrodnicze gdzie pracowały głównie kobiety. W odległości ok. 1 km była stacja kolejowa Mduruma. Rano budziły nas tam tamy z pobliskich wiosek murzyńskich. Przy stacji stałe siedział stary murzyn Kamba w sandałach zrobionych z opony samochodowej i jak przechodziliśmy śpiewał "spójrz Bwana i podziwiał moje buty, te buty pochodzą z Ameryki, Afryki lub Mombasy". Mze (starzec) nie miał pojęcia, że Mombasa jest portem kenijskim.

Proboszczem kościoła katolickiego był mój kapelan junacki jeszcze z Kermino, Pahlevi i Teheranu kpt Cezary Rogiński, bardzo groźny wychowawca. Wieczorami gonili bezlitośnie pary zakochanej młodzieży w tym często i mnie z moją sympatią Lodką Kaczorowską. Bardziej baliśmy się księdza kapelana niż mamy Lodki, która często poszukiwała nas z kijem w rękę. Raz dopadła nas w okolicy "małpiego gaju" kiedy wracaliśmy z naszego stałego miejsca randkowania, za cmentarzem nad rzeką (pod

naszym drzewkiem). Dziś muszę przyznać, że nieraz mieliśmy "stracha" ponieważ zaraz za rzeką Malala często stękały "simba" (lwy), charczały lamparty, szczekały szakale i chichotały hieny, a na drzewach gnieździły się żmije, węże i pająki.

Mama Lodki zmarła w Polsce, pochowana na Dolnym Śląsku. Lodka wyszła za mąż, mieszka na stałe w Chicago. Tam zmarł w 2003 roku jej mąż. Z Lodką spotkaliśmy się po 43 latach na Światowym Zjeździe Afrykańczyków w 1992 roku we Wrocławiu i do dziś korespondujemy ze sobą, co podziwia i akceptuje moja żona Hania.

Przepraszam Cię Lodko, że opisuję to nie pytając o zgodę.

Korespondujemy też ze Staszkiem Borkiem i Zdzisławem Hajburą z Chicago, Lolkiem Popławskim i Mietkiem Królewiczem z Kanady oraz Tadzkiem Supersonem z Anglii.

Na zlocie spotkałem też kolegów z Oudtshoorn i Tengeru Lolka Popławskiego, Mietka Królewicza, Staszka Borka, Staszka Wierzbickiego, Felka Borynia, Mirka Krażyńskiego, Kazia Redę, Tadzka Supersona, Staszka Czernka, Tadzka Domańskiego, Henia Filipkowskiego.

W Tengeru mieszkaliśmy w małych okrągłych, glinianych domkach krytych palmowymi liśćmi, z małym otworem okiennym z siatką. Nasz domek stał blisko kościoła a najbliższy domek należał do pani Bujnickiej – kierowniczki YMCA i jej córki Ani.

W domkach były drewniane łóżka z materacami z trawy, w których gnieździło się różne robactwo, a często znajdowało się i węże. Nad łóżkami były zawieszane moskitiery, był mały stolik, taborety, wiadro, miednica i latarnia naftowa. Przy każdym domku były małe ogródki, w których przez cały okrągły rok rosły przepiękne kwiaty głównie róże. Rosły też różne krzewy na których siedziały kameleony polujące na owady.

Spotykały nas różne nieprzewidziane przygody. W 1947 roku termity przegryzły w naszym domku konstrukcję z patyków bambusowych, przez co spora część ściany runęła.

W tym czasie nadszedł murzynek Bernardo, który wykonywał w naszej grupie różne prace porządkowe wokół domków, za co otrzymywał drobne wynagrodzenie, a najczęściej jakieś ubrania czy żywność. Bernardo był katolikiem, ukończył szkołę misyjną, miał 16-17 lat (dokładnie nie wiedział). Był sprytny i bardzo wesoły, ale też bezczelny w stosunku do swoich ziomek. Byłem świadkiem ciekawego zdarzenia. Obok mego domku przechodziło dwóch potężnych wojowników masajskich w pełnym uzbrojeniu (dzidy, tuki, panga i fimba) pomalowani na barwy wojenne w wianuszkach z małych suszonych papuzek na głowach. Nagle przyskoczył do nich Bernardo i zaczął ich wyzywać "Masai amboro mbili" (ty masaju o dwóch członkach), co jest bardzo obraźliwe, bo ma to związek



z obrzezaniem chłopców w wieku 15 lat, którzy po spełnieniu pewnych trudnych warunków związanych z zabiciem groźnego zwierza lub gada stawali się wojownikami. Wojownik zasłaniał się tarczą i coś tłumaczył. Wskoczyłem i przywołałem Bernardo do porządku. Masaje pozdrowili Bwana Kubwę (mnie) i poszli swoją drogą. Staralem się wytłumaczyć murzynkowi, że mógł się narazić na wielkie nieszczęście traktując w ten sposób wojowników masajskich. Ale Bernardo skwitował, że byli to czarni, brudni murzyni, a on jest wykształcony i pracuje u Polando (Polaków). Był zdolny, szybko nauczył się rozmawiać po polsku. Wywodził się ze szczepu Maru.

W roku 1948 kiedy wyjeżdżałem do kraju Bernardo płakał i prosił by zabrać go do Ulaja (Europa), gdzie będzie pracować dla Bwana Kubwy (Wielkiego Pana).

Poprosiłem Bernarda aby posprzątał gruz z zawalonej ściany domku. Kiedy rozbił duży kawał gruzu zobaczyłem po raz pierwszy matkę termitów, dużą przezroczystą glizda. Bernardo zaczął wołać radośnie niama, niama (mięso), oczyścił z piasku i zaczął jeść. Było to coś obrzydliwego.

W świetlicy "sodalicji" oraz na kortach tenisowych odbywały się często wieczorki taneczne dla młodzieży szkolnej pod "okiem" sióstr zakonnych, księży i nauczycieli. Natomiast w klubie "YMCA" odbywały się dancingi dla dorosłych często z udziałem Anglików i Greków. Młodzież szkolna nie miała tam wstępu. W końcu 1947 roku nam trochę starszym pozwolono uczestniczyć w tych imprezach ponieważ było mało dorosłych mężczyzn, a panie nie miały z kim tańczyć. Jacy byliśmy dumni gdy partnerka chwaliła, że ładnie tańczymy, a bardziej jeszcze kiedy "dama" prosiła o odprowadzenie do domku a działo się to na oczach "czeready koleśków" stojących pod YMCA.

W Tengeru dyrektorem mego gimnazjum był bardzo wymagający lubiący dyscyplinę i porządek delegowany z wojska pan Feliks Dudczak, natomiast woźnym był były kawalerzysta wachmistrz Kiszka, o pięknych sumiastych wąsach i złotym sercu. Jeśli coś poważnego przeszkobalo się i groziło stawianie się przed obliczem dyrektora Dudczaka, to najpierw pokornie meldowało się u p. wachmistrza. Jak się zwracało panie sierżancie zamiast wachmistrzu sprawa była przegrana, a jeśli meldowało się panie wachmistrzu było się "ochranionym odpowiednio pouczonym" i już po sprawie. Muszę się przyznać, że ja często stawałem przed obliczem p. wachmistrza.

Mieliśmy dobry zespół piłkarski. Uczestniczyliśmy w rozgrywkach o puchar pułkownika Minnorego Komendanta Osiedla. W spotkaniach regularnie uczestniczyły drużyny angielska, hinduska, grecka oraz wojskowa drużyna w składzie 10 murzynów

i 1 angiłk, który był kapitanem zespołu. Spotkania odbywały się przeważnie na obiektach Arusha, Moshi i Tengeru.

Na spotkanie piłkarskie w Arusha i Moshi przychodzili licznie murzyni z różnych szczepów: Meru, Arusha, Samburu, a nawet Kikuju i Wachima. Masaje przybywali w pełnym "rynsztunku" wojownika z dzidami, łukami, pangami, fimbami, tarczami pomalowani na barwy bojowe. Kibicowali wspaniale i bardzo obiektywnie. Zawsze kiedy graliśmy z Anglikami lub Hindusami skandowali "Polanda, Polonia cieza mzuri ampira" (dobrze gracie w piłkę). Kiedy zwyciężaliśmy podskakiwali, bębnilili i wołali "mzuri, mzuri Polonia". Jeśli przegraliśmy spotkanie pocieszała „akuna matata” (nie ma problemu).

Trenerami naszej drużyny byli panowie Lutek i Czostyrko, oddelegowani z wojska. Pan Czostyrko był jednocześnie nauczycielem języka angielskiego w moim gimnazjum. Dobrym szkoleniowcem i bardzo wymagającym na treningach i spotkaniach był pan Lutek.

Podstawowa drużyna piłkarska składała się: Mirek Krażyński, Henio Filipowski, Stasio Woś, Janek Dudek, Mietek Pożarski, Kazio Reda, Felek Boryń, Jan Krupa, Jan Fedorowicz, Janek Skalski i Jasko imienia nie pamiętam.

Jedno spotkanie rozegrane w Arusha do dziś pamiętam. Drużyna murzynów "dolożyła" nam 5:1 grając boso z obandażowanymi tylko kostkami nóg.

Młodzież należała do różnych kół zainteresowań. Był zespół teatralny, chór i orkiestra dęta. W 1946 roku starałem się dostać do orkiestry, a ponieważ nie miałem słuchu dodatkowo zepsułem puzon, na którym miałem ćwiczyć, toteż zostałem z hukiem wydalony przez kapelmistrza, pana Bojnara. Spotkałem tego pana w 1952/53 roku w Olsztynie, gdzie pracował w szkole muzycznej, jako profesor instrumentów dętych zmarł w końcu lat 50-tych pochowany jest podobno w Bartoszycach, gdzie mieszkała córka lekarka.

W Tengeru przebywało wielu ciekawych ludzi. Mieszkał tu dr Wacław Korabiewicz podróżnik, etnograf autor wielu książek o Afryce. Po śmierci pierwszej żony ożenił się z mieszkanką osiedla p. Marią Sidor, która była naszą sąsiadką osiedlową. Państwo Korabiewiczowie wrócili do kraju. Napisał m.in. "Nie zabiłem słonia", "Kwaheri" (Do widzenia), "Gdzie słoń a gdzie Polska" i "Midimo" (Maski) i wiele innych. Spotkaliśmy się na Mazurach w 1992 roku. Dr Wacław zmarł 15 lutego 1994 roku w Warszawie w wieku 91 lat. Prochy zgodnie z wolą zmarłego zatopione zostały w morzu.

W roku 1947 postanowiłem wraz z innymi kolegami "lobuzami" dostać się do wstępnego seminarium duchownego w Tengeru, a następnie wyjechać do Chicago. Ponieważ ksiądz Śliwowski zażądał zgody rodziców (jednego z rodziców) toteż zwróciłem



się do mamy, która z miejsca oświadczyła, że nie wierzy aby jej syn został kapłanem i nie wyrazi zgody, bo nie chce brać na siebie grzechu. Przepraszam Cię Mamo wiesz, że jestem porządnym i wierzącym człowiekiem. Rodzice zmarli a ich grób znajduje się w Ostródzie na Mazurach, którym opiekujemy się i stale odwiedzamy razem z siostrą Kazimierą Szor-Pożarską (też z Oudtshoorn i Tengeru), naszymi dziećmi, wnukami i prawnukami. Przede wszystkim dzięki Mamie wydostaliśmy się z kolchozu w Uzbekistanie i do dziś żyjemy.

Na przełomie 1946/1947 dotarły do nas wiadomości, że polskie osiedla będą likwidowane i należy się zdecydować czy wracać do Polski czy na emigrację do proponowanych krajów zachodnich. Ludzie wpadali w rozpacz, co robić? Przecież ich domy znalazły się w granicach ZSRR, a poza tem bojaźń przed ponowną deportacją w głąb Rosji. Wiele starszych osób popadło w ogromna rozpacz i pozostało na cmentarzach Afryki na zawsze.

My dzięki temu, że nasz Ojciec po wydostaniu się z łagru przebył szlak bojowy Lenino-Berlin wrócił szczęśliwie z pulkiem praskim do kraju i w końcu 1947 r. odnalazł nas przez Polski Czerwony Krzyż, toteż mieliśmy gdzie wracać.

W 1948 roku z Mombasy w Kenii rozpoczęliśmy powrót do Polski.

#### Kwaheri Afryko!

#### Powrót do kraju!

Po przybyciu do kraju przez pewien czas mieszkaliśmy w Warszawie a z chwilą przeniesienia Ojca do Garnizonu Ostródzkiego na Mazurach. Od 1949 r. zamieszkaliśmy tam na stałe. Ja w związku z nakazem pracy od roku 1953 zamieszkałem w Olsztynie na Warmii.

W Polsce aż do 1956 roku wzywano mnie na rozmowy do Urzędu Bezpieczeństwa i za każdym razem zadawano pytanie dlaczego wróciłem dopiero w 1948 roku i czy w Afryce lub Włoszech miałem kontakty z Anglikami? Za każdym razem kazano mi pisać życiorys ... . Miałem wiele kłopotów w szkole i potem w pracy. Nie miano do mnie przekonania i zaufania głównie ze strony tzw. aktywu ZMP. Muszę stwierdzić, że najgorsze były aktywistki, które poza tym „nie grzeszyły urodą ani inteligencją” (nie jestem złośliwy). Ratowało mnie tylko to, że byłem sportowcem, potem działaczem sportowym a poza tym, że zawsze byłem koleżeński i kontaktowy.

*W roku 1968 120 IV  
przeznał mi się odzwiek 'sympati' jako byłem juror  
PSZ 2. Jesteś oficj. HR*

18

W pracy w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, a potem w Urzędzie Wojewódzkim w Olsztynie wśród wielu dyrektorów wydziałów i wojewodów spotykałem wielu rozumnych ludzi. Wielu z nich już dziś nie żyje, ale bardzo miłe ich wspominam i często o nich rozmawiam. Muszę też stwierdzić, że i wśród działaczy ZMP było wielu rozsądnych młodych ludzi, którzy też ratowali mnie „w biedzie”.

Pragnę wymienić Oudtshoorniaków, którzy w latach 1947/49 wrócili do Polski i większości uczestniczą w Zjazdach Afrykańczyków: Kazimierz Bachmański, Anna Bachmańska, Marian Czelný, Tadeusz Gubski, Jadwiga Gorzowska-Hohenberg, Józef Konopacki, Tadeusz Konopacki, Krystyna Kępińska, Helena Ziółowska-Krzeszowska, Mirosława Lelo, Bożena Piłacka-Masojada, Jan Mach, Kazimiera Szor-Pożarska, Halina Budzyńska-Mazurkiewicz, Zofia Haciska-Pawłowska, Krystyna Piastowska-Kuraczycka, Cecylia Płochocka-Romotowska, Stanisława Wolnik-Mroszczyk, Mieczysław Pożarski, Mieczysław Wajszwili, Lambert Stołycho, Mieczysław Grabiński, Kazimierz Musur, Leokadia Gontarz-Wach, Jerzy Gruszczynski, Romualda Łapin-Perek, Władysława Łasek-Wach, Romualda Matusiewicz-Ozga, Helena Tabor-Nowak, Bogumiła Legon-Łagowska.

Wielu Oudtshoorniaków z różnych powodów nie wróciło do kraju i pozostało na stałe w RPA, jednak utrzymują kontakty z byłymi koleżankami i kolegami. Moja siostra Kazimiera Szor-Pożarska z Ostródy regularnie koresponduje z Zosią Trojanowską-Adamską żoną Edka zamieszkałą w Johannesburgu. Edek zmarł w 2002 roku. Stefan Adamski brat Zosi też mieszka tam na stałe. Stefan w 1996 r. uczestniczył w Zjeździe Afrykańczyków we Wrocławiu z kolegami z RPA Mietkiem Basiakiem, Marianem Doncerem i Piotrem Jakutowiczem.

W latach 1947-50 wrócili też na stałe do kraju z byłego osiedla Tengeru:

1. Bolesław Bajorek,
2. Zygmunt Batorski,
3. Janina Bezkorowajna-Bartkowiak,
4. Ewa Bąk-Kluszczyńska,
5. Andrzej Bortkowski,
6. Feliks Boryń,
7. Irena Brodnicka-Gądek,
8. Helena Budzianowska-Dziad,
9. Władysława Bzdęga-Marczewska,
10. Emilia Czajka-Dziad,
11. Emilia Czajka-Dziad,

19



12. Stanisław Czernek,
13. Jadwiga Dobrowolska,
14. Barbara Ekler-Matuchniak,
15. Genowefa Górczewska-Borkowska,
16. Halina Iwaszkiewicz,
17. Janina Iwaszkiewicz,
18. Stefania Kaszuba-Korabinowska,
19. Danuta Kazmierczak-Szczepaniak,
20. Maria Korabiewicz-Sidor
21. Wacław Korabiewicz
22. Janusz Kortakowski,
23. Julia Kozłowska-Fryc,
24. Teresa Krętuś-Trębacz,
25. Ryszard Krzysztofiak,
26. Stanisława Lurie-Małnowicz,
27. Kazimiera Łasak-Kot,
28. Zygmunt Makara,
29. Stefania Marków-Szczur,
30. Halina Międzik-Wójcik,
31. Halina Mikołajczyk-Pińkosz,
32. Łucja Misiewicz-Siemaszkó,
33. Alicja Młynek-Gądek,
34. Janina Natusiewicz-Mirer,
35. Helena Nikiel,
36. Maria Nowak,
37. Maria Pieprzyk-Jagielska,
38. Joanna Pietras-Bajek,
39. Maria Podowska (zakonnica),
40. Mieczysław Pożarski,
41. Maria Protaś-Rząsa,
42. Janina Ptak-Żebrowska,
43. Jacek Roszkowski,
44. Wiesław Roszkowski,
45. Zofia Sałdel-Dąbrowska,

46. Czesława Stanek-Kuflowska,
47. Maria Stańczak-Herba,
48. Bogusław Szczepaniak,
49. Kazimiera Szor-Pożarska,
50. Barbara Szymankiewicz-Ferenzy,
51. Teresa Więclawska-Smólska,
52. Zdzisława Wójcik (profesor),
53. Józefa Zaruba-Szpak.

Przepraszam, być może kogoś przeoczyłem.

Na Zjazdach Afrykańczyków w Klubie pod Baobabem poza realizacją programu ogólnego spotykamy się też w grupach osiedlowych i opowiadamy różne wesołe i smutne przygody jakie przeżywaliśmy wspólnie na obczyźnie. W grupie Oudtshorniaków wspominamy najczęściej naszych groźnych wychowawców i nasze łobuzerskie wybryki i przygody. W grupie Tengeru najczęściej wspominamy o naszych szkolnych miłościach, przygody w buszu i sawannie, udział w obozach harcerskich i sportowych w okolicach góry Kilimandżaro i jeziorem Wiktorii. Muszę wspomnieć, że podczas jednego z obozów krokodyl porwał harcerza, wychowanka sierocińca w Tengeru. Ten straszny wypadek do dziś wszyscy pamiętamy. Ja zwykle wspominam jak to w 1947 r. ze Zbyszkciem Marchutem i Staszkiem Wosiem wybraliśmy się w okolice Meru na safari. Nagle zapadła ciemna noc (tak jest w Afryce). Szliśmy buszem podrapani przez krzewy akacjowców aż znaleźliśmy się nad wąwozem gdzie była wieś masajska. Zobaczyliśmy dużo małych ognisk i jedno duże gdzie siedziała starszyna. Schodząc z góry wołaliśmy i gwizdaliśmy, tak należało robić. Bo jeśli ktoś zbliża się po cichu może go spotkać przykrość, będzie potraktowany przez Masai jako wróg, "simba" lub "nioka" (wąż, żmija). Kiedy wytoniliśmy się z ciemności wszyscy wojownicy zgromadzeni przy dużym ognisku powstali i powitali nas wesoło. Zaprosili do ogniska na honorowe miejsca przy wodzu i czarowniku.

Wódz zapytał czy jesteśmy głodni i zaraz przyniesiono na patykach po sporym kawałku wołowiny (tak myśleliśmy). Mięso było smaczne ale trochę słodkie, zjedliśmy je z apetytem. Następnie jeden z wojowników przyniósł na miedzianej blasze prażone orzeszki, które bardzo nam smakowały. Wódz poszeptał z czarownikiem i zapytał czy napijemy się "pomba" (wódka, nalewka), wyraziliśmy ochotę ponieważ żaden z nas przedtem tego nie próbował. Wojownik przyniósł dużą tykwę, podał ją wodzowi, a ten podał ją mnie ponieważ siedziałem najbliżej. Wziąłem tego gęstego płynu do ust



i natychmiast zdrętwiał mi język i cała jama ustna. Dowiedziałem się potem, że do "nalewki" (piwa) dodawano jakieś korzonki i głównie to one odurzały spożywającego płyn. Następnie spróbowali tego Zbyszek, Staszek i tykwa wróciła do wodza, czarownika i wojowników. Następnego dnia po powrocie do obozu zaczęliśmy opowiadać o przyjęciu jakie zgotowali nam Masaje. Nagle jeden ze starszych słuchaczy zaczął się głośno śmiać i wytłumaczył czym zostaliśmy poczęstowani. Otóż mięso było małpie, orzeszki to jakieś robaczki, a pomba (piwo) to nalewka z owoców suszonych na słońcu, do których dodaje się specjalne korzonki żute przez masajki, starców i dzieci. Spluwane jest to do wydrążonej w pnju kadzi, którą zakopuje się do ziemi na kilkanaście dni, następnie przecedza się i pije. Nigdy więcej „pomby”.

Po osiedlu chodził oswojony struś. Wszyscy go podkarmiali. Pewnego razu jedna z pań robiła przed domkiem przepierki. Pierścione, czy obrączkę położyła obok. Nagle struś podbiegł i połknął klejnot rodowy. Właścicielka wpadła w rozpacz. Poradzono jej aby zwabiła strusia i zamknęła w domku. Istotnie "struś-złodziej" po paru dniach "oddał" precjoza rodowe.

Inna zabawna historia była z kozuchem. Jedna ze starszych kobiet przywozła do Afryki długi kozuch nie wiedząc jakie będą zimy w Persji, Indiach czy Afryce. Trzymała kozuch długi czas w łóżku pod siennikiem. W kozuchu zagnieździło się różne robactwo, a nawet podobno i węże. Babcia wyniosła go na słońce i zobaczył, to murzyn który zaproponował kupno za kurę i kilkanaście jaj. Właścicielka zgodziła się. Nowy bosa właściciel założył kozuch wełną na zewnątrz i dumnie paradował w nim nawet w dzień kiedy prażyło słońce, mówił „ze czuje się mżur san (bardzo dobrze).

Murzyni poza Masajami bardzo lubią papierosy, nawet śpiewali piosenkę o papierosie ... "Jambo, jambo sana, siagara baridy, baridy Kilimandżaro" (... "Witam cię papierosie ty jesteś tak dobry jak zimno – śnieg na Kilimandżaro"). Masaje mieli szereg innych przyjemności do czego uprawniał ich tzw. status wojownika np. prawa do romansów nawet z żonami tych którzy nie spełnili warunków na wojownika. Podobno taki mąż jest szczęśliwy, że „Moran” wybrał jego żonę.

Przeżyłem też bardzo zabawną przygodę w kraterze Ngorongoro. Wybrała się tam cała nasza klasa. Zbyszek Marchut jak zawsze myślał przede wszystkim o wielkim polowaniu. Zabrał ze sobą duży samopał, który zresztą sam wyprodukował (z tego samopału postrzelił nieopatrznie Janka Krupę), maczetę i noże. Kiedy grupa pod opieką przewodników masajskich poszła w kierunku lasu akacyjowego, my we trzech – Zbyszek Marchut, Władek Czerw i ja poszliśmy w kierunku jeziora, nad którym widać było dużo

ptactwa i zwierząt. Nagle zobaczyliśmy, że w naszym kierunku pędzi stado bawołów. Na szczęście niedaleko rosło ogromne drzewo. Pobiegliśmy tam ile sił w nogach. Oczywiście wielki myśliwy Zbyszek pierwszy wdrapał się na drzewo, a tu wysoko na drzewie widzimy 2 lamparty, a na gałęziach zielone żmije.

Na szczęście bawoły popędziły w innym kierunku krateru, a "wielcy myśliwi" szybko zakończyli swoje safari. W 2001 roku będąc w Ngorongoro stwierdziłem, że drzewo nadal rośnie, a niedaleko widać stada bawołów.

Wszystkie zjazdy Afrykańczyków we Wrocławiu są bardzo przyjemne. Jest wiele radości ale też i łez. Dużo naszych koleżanek i kolegów odeszło już na zawsze. Odbył się też w Jachrance k/Warszawy Światowy Zjazd uczniów szkół Tangeru. Wiele tam było radości i wspomnień. W zjeździe uczestniczyła też pani Zdzisława Wójcik z córką.

Cieszymy się wszyscy ze spotkań z koleżankami i kolegami z dawnych lat, ale to wszystko o wiele, wiele lat za późno. Często są bardzo zabawne sytuacje ponieważ nie możemy się po prostu rozpoznać, bo przecież mieliśmy wówczas po kilkanaście lat a dziś

Na pierwszym zjeździe w 1989 roku we Wrocławiu mieszkaliśmy przez trzy dni we czterech w jednym pokoju. Wszyscy chodziliśmy swoimi drogami. W ostatnim dniu zjazdu odbyło się spotkanie w grupie Tangeru. Obok usiadł jeden z kolegów ze wspomnianego pokoju. Kiedy przy wspomnieniach wymieniłem swoje nazwisko "koleś" ten zawołał, ja się nazywam Felek Boryń. Felek z drużyny piłkarskiej w Tangeru.

W trakcie spotkania w kawiarni przy jednym stoliku siedziało 6 osób, snuliśmy różne wspomnienia. Jedna z dziewczyn opowiadała jak to było w szkole i harcerstwie, że miała tam koleżankę o imieniu Tereska i nagle siedząca obok niej krzyknęła to jestem ja, były to też koleżanki mojej siostry Kazimiery.

## Jambo, Jambo Afryko

### Po latach w Afryce

W 2001 roku w składzie 6 osób: Hania Gęgotek, Danka Sedlak, Janka Bezkorowajna z synem Andrzejem i jego kolegą Mirkiem Moletą. Wybraliśmy się do Kenii i Tanzanii. Po 11-tu godzinach lotu wylądowaliśmy w Nairobi, stolicy Kenii. Z Nairobi dotarliśmy do Hippo Halley (Dolina hipopotamów) na rancho Polski Joasi i jej męża Gamby, który ukończył swego czasu reżyserskie studia w Łodzi. Jest to przepiękne miejsce w Parku Narodowym



Nairobi. Państwo Gambi przyjęli nas bardzo radośnie. Joasia przestrzegła nas aby dobrze zamykać camping i nie pozostawiać na zewnątrz ubrań, bielizny czy ręczników ponieważ wszystko kradną małpy. Państwo Gambi do niedawna mieli trzy psy ale zostały pożarte przez krokodyle. Psy chodziły luzem po rancho, małpy drażniły je, a te zdenerwowane pędziły za „malpisonami”, które uciekały w kierunku rzeki i w ostatniej chwili wskakiwały na drzewa a rozpędzone psy wpadały do wody, gdzie czekały krokodyle! Co za współdziałanie.

Ciekawą przygodę opowiadała Joasia. Wracała późno z Nairobi. Nagle w odległości 1,5 km od rancho zepsuł się samochód. Postanowiła iść dalej pieszo. Po jakimś czasie usłyszała, że w pewnej odległości coś idzie i stęka, wiedziała, że to lew. Kiedy znalazła się za ogrodzeniem rancho, w świetle latarni zobaczyła rzeczywiście lwa, który ryknął i spokojnie się oddalił. Podobną przygodę przeżyli przedtem dwie murzynki i opowiedziały to Joasi. My również wracając samochodem późnym wieczorem widzieliśmy przechodzące wolno przez drogę lwy i hieny.

Zwiedziliśmy wzgórze Ngong oraz farmę Karen Blixen (autorka „Pożegnanie z Afryką”). W domku Karen jest muzeum. Wszystkie meble i sprzęty są na swoich dawnych miejscach. Na stoliku stoi słynny patefon. Wokół domu pięknie utrzymany park i dużo ptactwa. Załuję, że nie starczyło czasu by odwiedzić na poboczu wzgórza Ngong grobu Denysa Finch'a-Haltona. Podobno do dziś można tam spotkać lwy.

Następnie udaliśmy się do Arushy w Tanzanii, gdzie w odległości 12 km leży Tengeru, nasze osiedle. Na terenie byłego obozu jest pełno murzyńskich lepiarek i poletek głównie kukurydzy. Jest nasz kościółek katolicki i dzwonnica. Odwiedziliśmy w pierwszej kolejności cmentarz, gdzie jest 150 grobów. Jest kilka grobów prawosławnych i 9 żydowskich, wśród nich jest mogiła dr Wejsa, który w 1947 roku wyleczył mnie z bardzo ciężkiej malarii. Przy głównym wejściu jest tablica z napisem „Cmentarz Wyznawców Polskich”. Cmentarz jest ogrodzony jak dawniej, a nazwiska zmarłych są czytelne. Na cmentarzu tym leżą Mamy naszych Afrykańczyków – Danusi Kazimierczak-Szczepanik, Tadzia Domańskiego, czworo członków rodziny Szeligów. W listopadzie 2001 roku dokonano odnowienia grobów, ogrodzenia, zaangażowano też stałego stróża.

Odwiedziliśmy też teren osiedla Kondoa, gdzie mieszkała Hania Gęgotek. Podejmował nas tam ksiądz murzyn, który oprowadził po terenie byłego obozu i cmentarza gdzie odnaleźliśmy kilka grobów polskich między innymi Jana Karwowskiego ur. w 1885 r., a zmarł w Kondoa w 1945 r. oraz Jana Wielgosza ur. w 1873 r., a zmarł w 1947 r. i Marii Golonki. Odwiedziliśmy w Arusha grób Janiny Jurkowskiej, którą

miejscowi mieszkańcy bardzo lubili i szanowali, nazywając Mama Roczi (pani Roczi). Janka wyszła za mąż za Hindusa i prowadziła w Arusha ładny duży camping turystyczny, który zwiedzaliśmy. Janka zmarła w 2001 roku, krótko przed naszym przyjazdem. Jest pochowana na cmentarzu w Arusha. Zobaczyliśmy na mogile dużo kwiatów.

Zwiedziliśmy miasto Moshi pod Kilimandżaro, odbyliśmy safari po Parku Narodowym oraz po kraterze Ngorongoro. Nad kraterem pomnik prof. Johana Grzymka, wielkiego podróżnika, który z synem zginął w 1958 roku w tym miejscu po awarii awionetki.

W 2002 roku ponownie wybraliśmy się w grupie 9 osobowej do Afryki: Hania Gęgotek, Danka Sedlak, Halina Machalska, Krysia Okunowska-Sztajner z kuzynem Romkiem, Ryszard i Danka Adamczyk, Zdzisio Momot i ja. Stałą bazą była Mombasa. Wypadaliśmy na safari w kierunku Kilimandżaro głównie do Parku Amboseli. Nocowaliśmy w campingu myśliwskim w samym środku parku. Słychać było w nocy stękania lwów, chichot hien a rano na terenie campingu znajdowaliśmy dowody pobytu słoni. Odwiedziliśmy też w okolicach Amboseli dużą wieś masajską. Gospodarze przyjęli nas bardzo serdecznie i uroczyście. Masajki w pięknych kolorowych strojach, Masaje w pełnym „rynsztunku” wojownika. Stojąc razem z Danką, Halinką, Hanią i Krysią zauważyłem, że jeden z wodzów przygląda się ciekawie naszym Mamom (paniom). Podszedłem do niego, przywitałem się przez podanie ręki i słowami „Jambo” (dzień dobry) i spytałem żartobliwie że chyba podobają się nasze panie. Wódz zapytał mnie z kolei czy są to moje mamy (żony), skłamałem że tak. Wódz pocmokał z uznaniem i powiedział „mzuri sana”, chciałby też mieć takie mamy i dowcipnie z uśmiechem powiedział, że wszystkie bardzo mu się podobają, bo nie są chude i za każdą dałby po 100 „mbuzi” (kóz) albo 50 mombe (krów). Odpowiedziałem, że „mingi kidogo” (mnóstwo za mało). Wódz pomyślał i powiedział, że dołożyłby jeszcze skóry lwa, lamparta, skórę pytona, kły guźca i mnóstwo paciorków. Oczywiście transakcja nie doszła do skutku, chociaż muszę przyznać, że była to wysoka cena. Rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni i zadowoleniu. On, że Bwana (pan) chciał robić z nim interesy, a ja że wszystkie mamy mogą wrócić do kraju.

Często rozmawiałem z murzynami z różnych szczepów i stwierdziłem, że jak chyba we wszystkich krajach świata najwdzięczniejszym tematem młodych mężczyzn są kobiety i sport. Pytali czy w „Polanda” (w Polsce) są ładne, tłuste manamukie (dziewczyny)? Odpowiedziałem, że są tłuste i szczupłe ale wszystkie są ładne, podobnie jak tu w Afryce. Zauważyłem, że mieli wątpliwości do takiego porównania.



W Mombasie zwiedziliśmy w dzielnicy Nyali tereny byłego obozu dla wszystkich naszych rodaków, którzy opuszczali Afrykę oczekując na transport do Polski lub do krajów zachodnich.

Nad morzem gdzie była nasza plaża stoją piękne domy bogatych Europejczyków i Hindusów a w barakach mieszkalnych stacjonuje wojsko kenijskie. Danka Sedlak zaczęła opowiadać o dziewczynie, z którą były bardzo zaprzyjaźnione, tańczyły razem w zespole dziecięcym i tworzyły parę w krakowiaku – nazywała się Krysia Ratajczyk i wtedy zerwała się z miejsca Krysia Sztajner, wpadła w ramiona Danusi i wołała – to ja jestem Krysia Ratajczyk! Trzeba było jechać do Mombasy, aby się rozpoznać po latach.

Często wieczorami wychodziłem z hotelu aby porozmawiać z młodymi murzynami siedzącymi najczęściej przy drodze. Kiedy przechodziłem blisko pozdrawiali mnie „jambo, bwana” (dzień dobry panu), a ja odpowiadałem „jambo refiki” (dzień dobry koledzy). Byli bardzo ucieszeni ze spotkania, a tym bardziej jak częstowałem ich polskimi papierosami (sam nie palę, ale papierosy zabieram ze sobą) i że rozmawiam w ich języku suahili (podobno nieźle rozmawiam). Często tańczą i śpiewają nawet o „sigara baridi” (papierosie), o czym już wspominałem.

Po powrocie do Polski informujemy uczestników zjazdu Afrykańczyków z kraju i zagranicy pod stałym szefostwem Marysi Dutkiewicz i Zosi Daniszewskiej. Ostatni zjazd odbył się 12-14 września 2003 roku z udziałem 200 uczestników, w tym kilku osób z zagranicy m.in. Janka i Edek Tarchalscy oraz Mirek Krążyński z USA, Lolek Popławski z Kanady, Tadzio Superson i Tadzio Domański z Anglii. Parę osób, których nazwisk nie znam, ponieważ byli dawniej mieszkańcami innych osiedli poza Oudtshoorn i Tangeru.

W 2004 roku planujemy w grupie ponad 10 osobowej wyjazd do Tanzanii, Kenii i Ugandy, jeśli nic nieprzewidzianego się nie zdarzy. Zdaje się, że będzie to mój ostatni wyjazd. Dziś już serdecznie dziękuję koleżankom i kolegom za wspólne tam wyjazdy.

#### Kwaheri, Kwaheri Afryko!

Jednocześnie odwołuję się do  
Zawarłoby u Zofii w ostatni dzień  
M. 2003 roku odwołuję u listopadzie 2009 r.  
z etpż filozofii.

*[Signature]*



Mieczysław Pożarski